POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 31 SIERPNIA 1929 ROKU NR. 35

JERZY OSTROWSKI

18)

# JAZONEJA

*(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)*

Dyrektor Reich jednak twierdził, że wychodzi tu na jaw chytrość, co do której nie miał już teraz wątpliwości. Poskupywał wszystkie możliwe konie i muły w kolonji i na fazendzie i teraz będzie dyktować ceny za transport. Naprzód zaopatrzył się w ziemię w takiej ilości, jakby jaki fazender, zrywał siły, ażeby usunąć z niej las, a kiedy wszyscy myśleli, że on się zniechęcił do pola — okazało się, że chce on jeszcze powiększyć swoje zarobki.

— A skończy na tem, że wam tu założy wendę pod nosem! — mówił złośliwie do Messla.

— I tak nas jest tu zadużo. „Absolutamente" — odpowiedział nie bez ukrytej myśli Messel, bo nowozałożona, duża wenda Reicha groziła zdławieniem wszystkich innych.

Tylko baby miały inne zdanie:

— Włóczęgi mu się zachciało. Mało ant natłukł i nawycierał się po lasach — to teraz na wender pojechał.

I wyglądało na to, że miały one nieco racji: po jakimś czasie zaczęły dochodzić wieści z Czarnej Rzeki, z Portu Zgody i innych miejscowości o awanturach, wyprawianych przez dwuch karośników.

Jeden z nich miał zwyczaj gadać bardzo dużo i pić nie mniej, drugi tylko pił. Ale kiedy coś mu się nie podobało — wszczynał taką awanturę, że zawsze komuś coś się oberwało poważniejszego. Transporty dostawiał błyskawicznie, bo konie żywił, jak na ubój. Zarabiał ogromnie, ale wydawał też sporo. Wśród karośników miał wielki mir i często jako pretekst wybierał sobie obronę zaczepionych karośników, co go czyniło jakimś królem tego niespokojnego żywiołu. Zazwyczaj siedział cicho i nic nie zapowiadało, że rzuci się z głową w awanturę, aż nagle oczy mu błyskały i wybuchał. Znano go już na jego zwykłych torach i nazywano „Chico Bravo".

Niektóre rzeczy sprzedawał też na swoją rękę, zwłaszcza różne ozdoby i wyroby galanteryjne, zarabiając w niesłychany sposób. Nie wahał się też pożyczyć lub zapłacić za jakiegoć kamrata, będącego w potrzebie.

Istotnie zdawało się, że Cobus nareszcie znalazł właściwy dla siebie teren. Odżył i rozhulał się, jak nigdy. Zniknęły mu ostatnie zamyślenia i kipiał cały życiem, które rozsiewał w awanturach, zarobkach i stratach. Był znowu tym samym, jeśli nie twardszym i szumniejszym Cobusem, który wżerał się w las nienawistny, a ukochany z toporem w ręku.

Wreszcie któregoś dnia — niespodziany a dawno nie widziany — wjechał Chico do Tayopolu.

Trzeba było widzieć jego dobrane muły, jednej maści z „madrińją" — tęgą skarogniadą klaczą! Trzeba było słyszeć dzwonki u kaross (było ich dwie). To nie były żelazne dzwonki kolonistów: dźwięk miały melodyjny a donośny, nie grzechotały tępo, jak tamte. Były napewno z miedzi, a kto wie, czy nie ze srebra?

Karossy były duże, kryte płóciennemi dachami, koła solidne, uprząż wysmarowana dobrze tłuszczem, a bat strzelał conajmniej, jak picapau.

Na pierwszej karossie, która miała dach odsłonięty z przodu, siedział Chico Bravo, ubrany zupełnie już po tutejszemu, z tą tylko różnicą, że nie na kaboklerskiem ubraniu się wzorował, ale raczej na kostjumie „gaucha" z buńczucznego stanu Rio Grande. Miał wspaniałe żółte buty wyżej kolan, spodnie bufiaste, duże ostrogi, pas nabijany z bronią w futerałach, duży, czarny kapelusz na głowie, takąż chustkę na szyi, złożoną w trójkąt na plecach; koszulę zaś miał białą, co dowodziło, że powodzi mu się już bardzo dobrze.

Drugą karossą powoził Szumny, wymięty, jak zwykle, choć nieco lepiej ogarnięty i nie tak po miejsku, jak dawniej. Zatrzymali się przed wendą Pankosza, bo ona była jak raz w środku osady, a do Messla, który był teraz na skraju i daleko od kaplicy, mało kto zajeżdżał. Coprawda naprzeciwko Pankosza była nowa wenda — Reicha, ale tam więcej kupowano, niż pito i bawiono się.

Niebardzo poznał Pankosz Cobusa, ale gdy się rozgadali — zapomniał nawet kolejek liczyć. Pytali się o nowiny wzajemnie.

Powoli zaczęli się schodzić inni i gwar powstał, jak rzadko. Teraz mogli zobaczyć, co zrobiło się z Cobusa: śmiał się szeroko i oczy mu patrzyły psotnie, jak chłopakowi, co wyrwał się z domu na wender.

— Zuch z ciebie, Franek! — krzyczał Pankosz, który sam trzymał się kolejki, jakby gość. — Pokazujesz czarnym, co to polak!

— E! — roześmiał się Cobus.

Szumny z drugiego końca zaczął opowiadać jedną z większych awantur, więc odwrócili się do niego i słuchali. Cobus przytakiwał głową i podśmiewał się.

— ...Więc kiedy ten kabukier powiedział „polaco sem bandeira" — Franek pchnął tylko na niego

stół i zaraz sam się rzucił. Ale nawet „faka" nie wyjął, powiadam wam...

— Moi ludzie!...

— Cie chłop!...

Oczy mężczyznom się paliły i cisnęli się, żeby lepiej słyszeć.

W pewnej chwili Cobus podniósł się i zmierzył ku drzwiom.

— Idziesz już? — żałośnie zawołał Pankosz, nieco już podlany kaszasem.

Cobus zatrzymał się we drzwiach i stał, śmiejąc się do gromady.

— Nie — powiedział po chwili. — Tylko idę dobrze podrzucić „milji" szkapom, bo tu będzie długa pijatyka!

Hucznie zaśmiali się wszyscy i dwuch czy trzech wyszło, żeby mu pomóc. Dumni byli z tego zucha, no i to, że pachniało od niego dostatkiem i groszem.

Pijatyka, która się potem zaczęła, długo była wspominana w Tayopolu i została nawet otoczona rodzajem legendy grzesznej, w której potępienie mieszało się z uśmiechniętą dumą.

Trzeciego dnia wenda przedstawiała istny obraz sądu ostatecznego. Ludzie, którzy po raz trzeci trzeźwieli i mieli zamiar iść do domu — po raz trzeci wpadali w ramiona kaszasu i przysięgali komuś dozgonną miłość lub przypominali sobie spory, poprzedniego dnia przy temże kaszasie załagodzone.

Kilka razy przychodziły baby, ale odchodziły z kwitkiem. Chłopi jakby nabrali odwagi przy Cobusie i na obelgi — odpowiadali takiemi piorunami, że kobiety cofały się z tej rozhukanej wendy. Wreszcie przyszły całą kupą i wywarły całą swoją złość na Cobusie:

— Obieżyświacie! Włóczęgo!... Kabukrze!... — wrzeszczały.

— Swoją żonę pochowałeś, a teraz inne chcesz zgubić? — wrzasnęła któraś.

Cobus wstał nagle i nadspodziewanie pewnym krokiem podszedł do drzwi. Oczy zmrużył w ukośne szpareczki i powiedział bardzo cicho:

— Jak mi która jeszcze zaszczeka coś podobnego...

— No, to co?... — krzyknęła ta sama piskliwie.. — Z „fakiem" na nas pójdziesz?...

— To wam takie jatki z waszych chłopów zrobię, że ruski miesiąc popamiętacie — dokończył spokojnie Cobus.

— A cóż to nasze chłopy kaleki! — krzyczała Wąsowiakowa.

I dodała zaraz:

— Albo to cię nie znają, zbóju, żeś Weronkę do grobu wpędził? Myślisz, że jakeś po świecie nabuszował, to możesz tu się rządzić po swojemu?

Cobus odwrócił się wgłąb izby i krzyknął, ale tak silnym głosem, że gwar w wendzie natychmiast ustał.

— Wąsowiak! Zamknijcie swojej babie pysk, bo wasz pysk będzie za to odpowiadać!

Wąsowiak był pijany do tego stopnia, że nie wiedział dokładnie, skąd do niego mówią, ale zadziorny też był ponad miarę.

— Co ty masz za prawo do mnie? — wrzasnął, ucinając koguta w środku zdania. — Ja ci powiadam, mojej baby nie rusz, bo tem...

Nagle Wąsowiak wyleciał wgórę i wpadł w sam środek kupy bab, które z piskiem się rozleciały.

— Cobus! Opamiętaj się — krzyknął szwagier Wąsowiaka, Jurko Tymoszczuk, prawie trzeźwy jeszcze.

— Won! — powiedział spokojnie Cobus.

— Kto won? — zaczerwienił się tamten.

— Ty, psubracie, — powoli, cicho cedził Cobus, któremu ręce latały koło pasa.

— Ludzie, zejdźcie mu z drogi, bo będą tu takie rzeczy...

Naraz wśród bab buchnął okrzyk:

— Jezu! Chłopy się biją!...

W tej chwili w progu wendy, jak niegdyś, kiedy to zachorzała Weronka — stanął ksiądz. Krew go aż zatykała i słowa strzępiły mu się w ustach:

— Poganie!... Djabelskie pachołki!... Precz, bo jak mi Bóg miły...

Cobus wstał z ziemi i patrzył oszalałym wzrokiem na księdza.

— Ty... ty... — szedł ksiądz na niego z palcem wyciągniętym — zarazę wniosłeś... Od gromady odszedłeś — to nie wracaj! Rozumiesz? — Nie wracaj. Zabraniam ci!

— To ksiądz tak za babami oręduje? — spytał z kąta Szumny.

— Gromady bronię! — huknął ksiądz.

— My się do stada nie prosimy! — odpowiadał dalej w imieniu spółki Szumny. — Chłopyśmy są, a nie baby, co księżej sutanny się trzymają.

— Włóczęgi jesteście! — krzyknął ksiądz.

— Włóczęgi jesteśmy — powtórzył spokojnie Szumny.

Ksiądz odwrócił się do gromady i powiedział:

— Żebyście mi z tą parszywą owcą... ani słowa. Obcy jest dla nas!

I w tej chwili z tego przeklętego miejsca.

Chłopi pokornie wychodzili w ciszy, tylko odezwał się jeszcze przekorny głos Szumnego:

— Spódnice portki wygnały!

To przerwało w Cobusie jakąś zaporę i zaśmiał się tak wesoło, jakby nic się nie zdarzyło.

— Trzeba jeszcze zapłacić za te nie — parszywe owce! — przypomniał Szumny.

Za chwilę jechali do siebie w swoich karossach i kilka dni nie było ich widać na kolonji. Ponoć naprawiali obejście i ranszo, a także mieli coś w polu zrobić.

Dopiero w tydzień coś potem wyjechali na świat na dobrych koniach, w srebrnych rzędach, uzbrojeni i wyświeżeni, jak na wesele. Ludzie patrzyli na nich spodełba, a oni się śmieli im w oczy, jak te potępieńce prawdziwe.

Zatrzymali się przed fazendą Reicha i zsiedli z koni. Po kilku słowach powitania, dyrektor Reich powiedział z naciskiem:

— Senhor Chico, trzeba teraz być spokojnym. Czasy są niedobre, „fanatycy" się włóczą po okolicy, więc policja jest bardzo zawzięta na wszelkie niepokoje. U mnie nawet kwateruje tenente Cataldi...

— O, tu jest Cataldi? — poruszył się Cobus.

— Tak... Senhor go zna?

— Nie, nie znam, ale chciałbym poznać.

— Ho - ho - ho! — śmiał się Reich. — Oto chyba pierwszy człowiek, który chce poznać porucznika Cataldi. A dlaczegóż, jeśli wolno wiedzieć?

Cobus popatrzył na niego wesoło:

— Mówili mi, że bardzo przyjemny człowiek. Podobno wozi ze sobą pumę na łańcuszku... Widać, lubi zwierzęta.

Reich skrzywił się trochę, jak na przypomnienie o czemś nieprzyjemnem i nic nie odpowiedział.

(D. c. n.).

# TRÓJKA TREFL

22)

Lecz gdy wpadł przez drzwi do wązkiego korytarza, spostrzegł natychmiast, iż atmosfera zamku Kès uległa wielkiej zmianie.

Zwykła ponura i beznadziejnie smutna cisza ustąpiła jakiemuś nowemu tempu. Bicie dzwonu ustało, lecz rozlegały się zewsząd ciężkie kroki; odgłosy powitań dochodziły z wielkiego przedsionka.

Zzewnątrz słychać było warczenie motoru. W korytarzu znajdującym się po przeciwległej stronie pokoju krzyczano, nawoływano, goniono...

## XXI.

## SCHODY SŁUŻBOWE.

Godfrey nie miał czasu na zastanawianie się. Groziło mu niebezpieczeństwo. Szukano go z obu stron. Uczynił kilka kroków naprzód i znalazł się tuż przy brudnych krętych schodach, prowadzących na górne piętra.

Godfrey jął biec po tych schodach. Nie zdawał sobie zupełnie sprawy, czy obrał właściwą drogę, pragnął jedynie uciec przed tymi, którzy gonili za nim.

Schody były zaniedbane, widocznie nie chodzono po nich od bardzo dawna. Na każdem półpiętrze znajdowało się małe okratowane okienko, przez które przenikało słabe światło.

Znalazłszy się na pierwszem piętrze, Godfrey usłyszał krzyki i hałas butów, uderzających o podłogę. Cała gromada wyszła już z piwnicy i szukała go.

Padały rozkazy. Jakieś drzwi trzaskały.

Jakiś głos zagrzmiał:

— Tu, tu! Schody.

Serce Godfreya zabiło mocniej; w wąskiem przejściu, z którego prowadziły schody, rozległ się tupot.

Godfrey biegł coraz wyżej. Wolał raczej znaleźć się z jakimś innym wrogiem twarzą w twarz, niż dać się złapać tej wyjącej gromadzie, na czele której stał ohydny potwór.

Nie miał wyobrażenia, dokąd prowadzą schody, gdyż nie widział żadnych drzwi...

Wreszcie schody skończyły się. Był chyba na ostatniem piętrze zamku. Z maleńkiego strychu prowadziły drzwi do przedpokoju. Godfrey uchylił drzwi i poznał przedpokój, który prowadził do salonu Walerji. Był tu już tyle razy w towarzystwie księżniczki! A więc znajdował się w pokoju wieży, i schody, po których biegł, były schodami służbowemi.

Słyszał w dalszym ciągu odgłosy kroków. Nie wiedział w tej chwili, z której strony nadbiegają. Wtem zdał sobie sprawę, że pochodzą z drugiej strony salonu.

Jego wrogowie szli po głównych schodach, ażeby przeciąć mu ucieczkę.

W zagłębieniu mieściły się małe kręte schodki. Bez wahania wskoczył na nie Godfrey, gdyż mało go obchodziło, dokąd właściwie schody te prowadzą. Może za chwilę znajdzie się na dachu... była to jego ostatnia nadzieja.

W głowie czuł zawrót, serce waliło, jak młotem. Wreszcie znalazł się tuż pod dachem. Znowu malutkie drzwiczki, na szczęście, otwarte.

Dysząc ciężko, pchnął drzwi, skurczył się jeszcze bardziej i znalazł się w długim ciemnym korytarzu, na samym strychu. Korytarz był wązki i Godfrey zorjentował się momentalnie, że o ukryciu się w nim nie mogło być nawet mowy.

Z za drzwiczek dochodziły najwyraźniejsze głosy tych, co gonili za Godfreyem. Położenie młodego Anglika stawało się coraz groźniejsze. Słyszał w tej chwili gniewne szepty i ciężkie dyszenie jednego z członków pogoni za szpiegiem.

Godfrey rozglądał się z rozpaczą po korytarzu, Tuż nad nim mieściło się małe okienko.

— Otworzę je — szeptał — i wydostanę się na dach, a potem niech się dzieje wola Boża!

Lecz trudniej było wykonać ten zamiar, niż przypuszczał. Zardzewiałe zawiasy nie chciały ustąpić. Szarpał je z całych sił, mocował się — bezskutecznie.

Nagle usłyszał skrzypienie drzwi.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — zawołał ktoś po niemiecku.

Cairsdale, który wciąż jeszcze usiłował otworzyć okienko, był przekonany, że jest zgubiony.

Z bardzo bliska odpowiedział głos.

— Niech pan pułkownik raczy zaczekać chwilkę, a zaraz podejdę. Dach jest wyjątkowo niski, a w korytarzu panują ciemności. Pan pułkownik mógłby się uderzyć...

Nastąpiło chwilowe milczenie i w tym błogosławionym momencie zawiasy przy oknie ustąpiły. Godfrey zebrał wszystkie swoje siły i prześlizgnął się przez okienko, zamykając je cicho za sobą.

Nowe położenie, w jakiem znalazł się teraz, obaliło wszystkie obawy, które żywił podczas ucieczki. Był jakby zawieszony nad spadzistem skrzydłem dachu, urywającem się stromo tuż nad przepaścią. Ażeby nie być dostrzeżonym przez szybę, Godfrey wspiął się wyżej, opierając nogi o obramowanie szyby.

Rozejrzał się wokoło, a następnie przymknął oczy i przywarł całem ciałem do czerwonej dachówki. Przeraził go widok, roztaczający się u jego stóp, przestraszyła go beznadziejność obecnego położenia.

Był tak bardzo zmęczony, że nie mógł pochwycić szczegółów. Widział tylko, iż głęboko w dole ciągną się białe śnieżne pola, przecięte srebrną wstęgą rzeki. Słyszał nad sobą złowróżbne krakanie kruków, szybujących tuż nad starą wieżą, przenikał go ostry mróz, a przedewszystkiem ogarniała go cisza, straszliwa cisza, panującą na wysokościach. Ta cisza i krakanie ptaków napawało go największą trwogą i poczuciem bezgranicznej samotności.

Przenikała go wzmagająca się chęć skończenia walki z wrogiem. Czy nie najłatwiej, najprościej zsunąć się po dachu w otchłań i tym sposobem przerwać dręczące godziny niepewności? Tak był znużony, smutny, samotny...

Lecz Godfrey Cairsdale zaprawił się już od dawna do panowania nad chwilowemi nastrojami. Trwoga jest uczuciem, które można pognębić, zwłaszcza gdy młode serce bije gorącem uczuciem. Rzucić się w przepaść! Nigdy już nie ujrzeć ukochanej twarzyczki Wirginji! Uciec przed życiem! Nie, na to jest zawsze czas. Teraz trzeba się skupić w sobie i czekać.

Przymknął oczy i jął nasłuchiwać. Zamierzał czekać przez pół godziny, a potem wrócić do zamku przez okienko.

Lecz gdy otworzył oczy, by spojrzeć na zegarek, dostał tak strasznego zawrotu głowy, że cudem tylko nie zachwiał się i nie runął w przepaść...

Nawpół omdlały słyszał kroki w korytarzu; było mu zupełnie obojętne, czy znajdą go wreszcie, strącą z dachu, lub wezmą go na tortury...

Od najwcześniejszych lat dziecinnych wycieczki w góry sprawiały mu przykrość. Nie znosił nigdy widoku przepaści, a teraz miał wrażenie, że w żaden sposób nie będzie mógł wrócić do swojej kryjówki. Bał się, bał się okropnie.

A jednak ból wywołany anormalną pozycją i straszny mróz przezwyciężył wreszcie jego lęk. Sam nie wiedział, w jaki sposób prześlizgnął się przez okienko na strych. Gdy wreszcie znalazł się w niskiem przejściu, zmęczenie zabiło wszelkie inne uczucia i Godfrey Cairsdale popadł w głęboki sen.

Gdy obudził się, było już prawie ciemno. W pierwszej chwili nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Ale powoli jął przypominać sobie przeżycia ubiegłych dwudziestu czterech godzin.

Uderzyła go woń zgnilizny, a następnie przeniknął do szpiku kości lodowaty mróz. Usiadł i spojrzał na zegarek. Było już po czwartej. Zaczął rozcierać ręce, które sprawiały mu dotkliwy ból. Przypomniał sobie, że ma w kieszeni kurtki buteleczkę whiski i paczkę herbatników. Alkohol rozgrzał go, a herbatniki zaspokoiły głód. Posiliwszy się, jął rozmyślać nad obecnem położeniem i szykować się do ostatecznej walki.

Fraugott oznajmił, że decydujące zebranie odbędzie się o siódmej, w pokoju wieży. Do tej pory nie można było przedsięwziąć żadnych kroków — lecz należało przewidzieć wszystkie ewentualności.

W raporcie, powierzonym Wirginji, Godfrey uprzedził swoich zwierzchników w Londynie, że wybuch spisku miał nastąpić dwudziestego pierwszego, Omylił się w swoich obrachunkach, czy też przyspieszono datę? Ta ostatnia hypoteza wydała się Godfreyowi najbardziej prawdopodobną. Von Barzen, udając się na przystanek kolejowy, przyjął korespondencję Godfreya i to musiało wpłynąć na przyspieszenie akcji.

Przez chwilę myśli młodego Anglika skupiły się na Wirginji. Był teraz spokojny o nią, gdyż oddalała się coraz bardziej od terenu spisku. Przybyła tu, wplątała się w niebezpieczną przygodę z miłości dla niego. Serce zabiło mocniej! Kochana dziewczyna! I jaka lojalna! Nie tłomaczyła wadliwie jego milczenia. Nie wzięła mu za złe, że nie stawił się na umówione spotkanie. Nie zwątpiła w jego uczucia. Wręcz przeciwnie, udała się na jego poszukiwania, gdyż sądziła, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Droga, jedyna Jenny! Jak straszną musiała być ta noc, spędzona pośród śniegów i w opustoszałej willi! Ze wzruszeniem spojrzał na obrączkę, której nie zdejmował z palca.

„Z całą wiarą". Istotnie, była wierną swojej dewizie. Z całą wiarą przybiegła ratować go.

— A teraz, — postanowił Godfrey — muszę znaleść jakąś kryjówkę i zaczekać w niej aż do spotkania z Fraugottem.

Na szczęście, był teraz blisko pokoju wieży. Gdy Gellert oraz jego goście udadzą się na obiad, będzie mu łatwo wydostać się ze strychu i stawić na miejsce wyznaczone przez Fraugotta.

Cóż za dziwna osobistość z tego Niemca. Zbyt wielki pedant, lecz bądź co bądź człowiek, na którego można liczyć.

— Mam wrażenie—pomyślał Godfrey wstając—że mój nowy przyjaciel Fraugott i ja przeżyjemy razem szmat życia, zanim rozdzielą nas losy.

Wyjął lampkę z kieszeni i jął badać teren. W końcu korytarza spostrzegł maleńkie drzwi. W obawie, by nikt nie usłyszał jego kroków, podszedł do drzwi na czubkach palców. Zatrzymał się. Nadsłuchiwał jakiś czas. Panowała bezwzględna cisza. Nacisnął klamkę.

Znalazł się w okrągłym niskim pokoju. W ścianach mieściły się maleńkie okienka. Mansarda była ciemna i pusta. Podłoga zakurzona i od dawien dawna nie zamieciona, lecz widać było na niej ślady stóp. Widocznie szukano tu Godfreya. Biła tu woń stęchlizny, lecz ku wielkiej radości Godfreya panował żar, niemal tropikalny.

Po lodowatej temperaturze w korytarzyku, ciepło wydało mu się błogosławieństwem. Lecz skąd mogło pochodzić? Rura od pieca, przechodząca przez mansardę oraz dziwny kształt pokoju nasunęły mu przypuszczenie, że znajduje się nad salonem Walerji.

— Boże wielki! — westchnął Godfrey — chyba się nie mylę.

Pragnął w tej chwili paść na kolana i dziękować przeznaczeniu za nieprzewidziane szczęście, jakie go spotkało.

Gdyby miał nawet jakiekolwiek wątpliwości, to rozwiałyby się w tej chwili, gdy usłyszał głos Walerji.

— Przyjdę zaraz, pułkowniku Trommel.

Godfrey nachylił się i ujrzał przez szparę przy rurze od pieca duży okrągły stół, a przy stole Walerję, stojącą obok wysokiego tęgiego mężczyzny w szarym mundurze.

A więc to był pułkownik Trommel.

Drugi z przywódców „trójki trefl" przybył na posterunek.

## XXII.

## WIRGINJA PRZYBYWA DO KÈS

Gdy Godfrey zniknął w śnieżnej zamieci, Wirginja dorzuciła kilka polan do ognia, przysunęła krzesło do kominka i usiadła.

Dopóki była razem z Godfreyem, spokój i równowaga młodego mężczyzny podtrzymywały ją. Teraz, kiedy zamknęły się za nim drzwi, serce jej znowu zamierało ze strachu.

Jęła się zastanawiać nad swojem położeniem. Czy mogła przedsięwziąć jakieś kroki? Aranyi, który żywił tak wielką sympatję dla Anglików, przyszedłby jej napewno z pomocą.

Ale czy mogła zwierzyć się hrabiemu Aranyi? Czy miała do tego prawo? Wtem przyszła jej do głowy znakomita myśl: hrabia Hektor powiedział, iż postara się oddać Gellerta w ręce sprawiedliwości. Gdyby więc teraz przeprowadzono śledztwo i zrobiono rewizję w Zamku Kès, tajemnicza zasłona, za którą krył się potworny karzeł i jego ohydne czyny, zostałaby zerwana i Wirginja dopięłaby celu, niezdradzając zaufania kochanego mężczyzny.

Ciepło bijące od kominka było takie przyjemne. Przemarzła tej nocy i rozkoszowała się gorącem. Miała przed sobą spory szmat drogi... znowu trzeba będzie wyjść na ziąb... brrr! lecz mogła jeszcze odpocząć, zaczekać, aż rozjaśni się zupełnie... przymknęła więc oczy...

(D. c. n.).